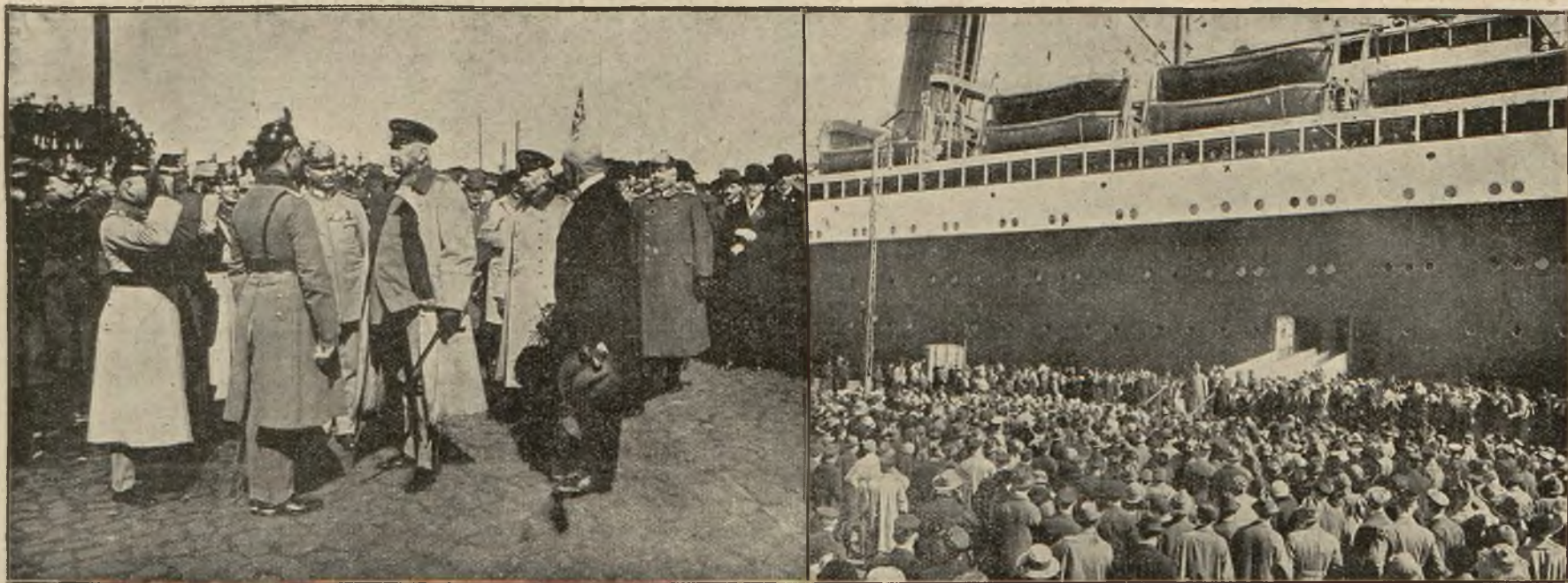


# „K O L U M B“ I H I N D E N B U R G



Dwa te imiona charakteryzują w znacznej mierze przejawy obecnego życia Niemiec. Naturalnie jednak, że mowa tu nie o Krzysztofie Kolumbie, odkrywcy Ameryki, ale o olbrzymie morskim, nowym okręcie niemieckim należącym do Północno-niemieckiego Lloyd, który tym imieniem słynnego podróżnika został ochrzczony. Na uroczystość spuszczenia na wodę oceanu tego nowego olbrzyma przybył do Bremerhaven feldmarszałek Hindenburg, któremu tysiączne tłumy urządziły owacyjne przyjęcie. Gdy spojrzeć na podane wyżej zdjęcia, zda się, że są to przedwojenne czasy. Ten sam rozmach produkcji, budowa olbrzymich okrętów będących istotnie ostatniem słowem techniki; wskrzeszanie floty handlowej, groźnej rywalce dla dzisiejszych władczyni morza: Ameryki i Anglii (Anglia bowiem musiała już dziś ustąpić w tym zakresie pierwszeństwa Stanom Zjednoczonym) — a z drugiej strony kult mundurów wojskowych i owacje dla obalonych (zdało się — niepowrotnie) bożyszcz cesarstwa. Dlatego to te dwie fotografie i te dwa nazwiska: imię olbrzymiego okrętu i imię zwyciężonego wodza mogą symbolizować duży odcinek dzisiejszego życia niemieckiego. Są one symbolami niezwykle żywotności ekonomicznej, tego pokonanego militarnie, ale potężnego nadal ekonomicznie kolosa, i wyrazem ideałów odwetowych nacjonalizmu i militarystyki niemieckiej, który nie rezygnuje i tylko czeka chwili sposobnej, aby pomścić poniesioną przez siebie klęskę. Na ilustracji widzimy feldmarszałka Hindenburga w dawnym cesarskim mundurze witanego owacyjnie w Bremerhaven, i okręt „Columbus“, przed którym zgromadziły się tłumy, a zespoły śpiewacze bremerńskie odśpiewują kantatę na cześć marszałka zwiedzającego okręt. (Marszałek stoi na pokładzie w miejscu oznaczonym krzyżykiem, i salutując, dziękuje za owacje).

BOB.

## Pionier awiacji humoreska.

Jak Bajorów Bajorowem, tak jeszcze takiego ruchu nikt nigdy w nim nie widział. Najstarsi ludzie siedząc w fotelach przy oknach otwartych, albo nawet wysuniętych przed domy, kiwają głowami na znak zdumienia i podziwu.

Już o siódmej rano pan aptekarz Pigułko zjawił się osobiście na wieży fabryki wody sodowej, służącej równocześnie za wieżę strażacką i jako etatowy komendant straży ogniowej, zadał wspaniałą, czterotonową pobudkę na rogu myśliwskim, wspaniałomyślnie wypożyczonym na ten dzień uroczysty, przez dziedzica. Zelektryzowani dźwiękami pobudki członkowie Bajorowskiej Straży Ogniowej i Kółka Rolniczego, w przeciągu nie całych 6 godzin byli już na miejscu zbornem pod wieżą.

Posypały się gromkie rozkazy i oto dwunastu strażaków, uzbrojonych od pasa aż do głowy (a pan komendant miał nawet buty i spodnie przepisowe) rozbiegło się po trzech ulicach miasta, by dokończyć przygotowań.

O godz. 4-tej miało się zacząć. Koniec nie był przewidzianym. O godz. 4-tej zatem początek. O 2-giej czterech rycerzy św. Florjana trzymało już kordon przy wejściu do parku miejskiego, dwóch innych sprzedawało bilety tłoczącej się publiczności, jeden zaś wyznaczony był do odpędzania od bramy przechodzącego bydła. Pan komendant czynił honory parku, w czym dopomagał mu sumiennie i przystojnie sekretarz gminny i nauczyciel miejski. O godz. 3:30 nie było już ani jednego wolnego miejsca ani na ziemi ani na 14-tu drzewach parku. Tylko w samym środku ogrodu świeciła łysina polana otoczona drutem, a na niej płachtą zakryta tajemnica. O godz. 4-tej punktualnie zatrzymały się wszystkich serca w biegu, a przez tłum powiał szept:

„Już idzie... już idzie“. I prawie równocześnie wolnych od służby przy bramie 3-ech strażaków wprowadziło pana Stanisława Balonika, szpalerem zwięzłym chroniąc go od natłoku.

Dokoła po any zakotłowało. Na najbliższych ławkach siedząca śmietanka miejska, jako to: poborcowie podatku, sędzia i sędzina, ksiądz probosz, emerytowany radca powiatowy i jego sześć córek, dom aptekarza łącznie z kucharką, no i w osobnej budzie zbudowanej trybunale pan prezydent miasta z żoną i dwoma jedynakami — ta zatem śmietanka poczęła do oczu przykładac cwikiery, lornetki, soczewski i szkiełka od zegarków, aby jaknajlepiej przypatrzeć się bohaterowi dnia, panu Stanisławowi Balonikowi.

Już wszedł na polanę wprowadzony pod rękę przez pana komendanta-aptekarza, już stoi koło tajemniczej płachty. Wtem pan komendant podnosi rękę by się uciszyło, na znak, że chce przemówić.

Uciszyło się, a on przemówił mniej więcej tak: „Szanowna Publiczności!

Oto dzień o którym od miesiąca mówił cały Bajorów, nadszedł naturalnie. Dziś, co mówię, zaraz, za kilka chwil ewentualnie zobaczymy coś, co na zawsze zostanie w naszej pamięci. — Oto stojący tu przed waszemi oczyma szanowny pan Stanisław Balonik...“

— Krowa! — ktoś z tłumu krzyknął nagle.

— Powiedziałem — pan Stanisław Balonik...

— Krowa! Krowa! — znowu krzyk.

— Ależ nie krowa...

— Ależ krowa wzięła do parku i może publiczność stratać!

— Któżby krowę wpuścił?! — krzyknął pan komendant.

— Pogotowie strażackie! Wyprowadzić krowę!

Miał tumult połączony z krwiożerczym rykiem krowy, przerwał na chwilę mowę pana aptekarza. Na szczęście obyło się bez nieszczęścia i połączonym siłom trzech strażaków udało się wyprowadzić groźne zwierzę.

A gdy się uciszyło, pan Pigułko podjął dalej swoją orację.

„...Pan Stanisław zatem Balonik, dotychczas skromny aczkolwiek popularny felczer i fryzjer naszego grodu, przez szereg lat zamykał się w swoim pokoiku razjerskim i po godzinach golenia i wrywania zębów, poświęcał się jakimś tajemnym, alchemicznym rzekłbym studjom. Znajomi jego uśmiechali się na to. A on nic. Nieznajomi nieuśmiechali się na to. A on nic. — Aż oto dziś on nam odśłoni owoc swoich studjów. Oto przez kilka lat budował aparat do latania. — Zauważyliście państwo zapewne, że w ostatnich czasach w Bajorowie znaleźć nie można ani jednej myszy, ani jednego szczura, ani jednego kota. To zasługa pana Balonika. On to od dawna już skupował i wyłapywał te stworzenia i ze skórek ich specjalnie wyprawionych zbudował swój aparat. — Cześć mu na razie za to. A kiedy odbędzie swój pierwszy lot i znowu stanie między nami, uczcimy w nim pioniera, zdobywcę powietrza. Dzięki niemu to bowiem gród nasz może zasłynąć wnet na całą ziemię, od Kołomyży aż po Wiedeń. Więc niech żyje nam pan Stanisław Balonik!

Niech żyje! Niech żyje!

Pan Balonik błady i wzruszony, ale pewny siebie, czego go rwanie zębów nauczyło, ukłonił się kilka razy i płachtę odsunął. I oto z pod niej wznosił się napompowany już gazem balon, przywiązany do kółka wbitego w ziemię.

Publiczność zastygła w oczekiwaniu.

A on, pan Stanisław kłaniając się ciągle przewiązał się w pół jakąś linką wiszącą u balona i wspiął się na palcach chcąc klapy spróbować.

Nagle balon poderwał się, wyszarpnął kołek z ziemi i nim kto zdążył temu przeszkodzić, uniósł pana Stanisława w powietrze. Ktoś go usiłował wprawdzie złapać za nogi, ale zapóźno. Preraźliwe krzyki bohaterskiego pana Stanisława świadczyły o tem, że wzlot jego nie w ten miał się odbyć sposób. Przewiązany sznurem w pasie zwił ku dołowi i krzyczał w niebogłosy, wymachując wszystkimi kończynami.

Publiczność widząc groźące awiatorowi niebezpieczeństwo zaczęła biegać tu i tam zpowrotem. Z zadartych głów sypały się krzykiem rady. Ktoś wołał, by sprowadzić sikawkę i haki, ktoś radził uderzyć w dzwony kościelne, poczmistrz twierdził, że najlepiej zadepeszować o wojsko, — tymczasem balon powoli ale ciągle unosił się w górę. Kobiety piszczały, mężczyźni zębami kłapali. Ktoś przez silne szkieleto od zegarka zobaczył, że pan Stanisław staje się siny.

— On kona!

Wtem powiał wiatr i balon miast do góry, począł w bok szybować. Znowu na chwilę zrobiła się cisza. Oto przed balonem rosnęło drzewo. Ono mogło go zatrzymać. Ono jedno! I... zatrzymało. Pan Stanisław jednak mimo tysiąca prób, nie mógł dostać się do żadnej gałęzi i wciąż wisił między balonem a ziemią.

Ale Bajorów miał tęgich obywateli, nie prędko tracących głowy. Pan kamendant już ją odzyskał i w przeciągu dwóch godzin pod drzewo przytrzymujące balon zajechał wóz strażacki z drabinami.

Cały tuzin strażaków z komendantem na czele rozpoczął akcję ratunkową. Związano wszystkie drabiny i oparto je o ścianę balonu. A wtedy komendant sam, z pięcioma szeregowcami począł wspinać się ostrożnie po szczeblach. Publiczność cisnąc się u dołu coraz okrzykiem jakimś dodawała bohaterom otuchy.

— Jeszcze trochę! — Zaraz, zaraz panie Stanisławie, jeszcze chwila! — Powoli, powoli, aby balon drzewa nie wyrwał!

Nagle!... Straszny trzask! — Ostre końce drabiny przedziurawiły bok balonu!

A to co się stało, trwało kilka sekund.

Zebrany w balonie gaz z potwornym sykiem ułotnił się. Balon w oczach poprostu schudł jak worek.

I nim kto zdążył coś więcej zrobić aniżeli krzyknąć, pan felczer Stanisław Balonik, pan komendant-aptekarz Pigułko i pięciu strażaków zleciało na głowy dodającej im otuchy publiczności, a w chwilę później miejsce tragedii nakryła powłoka balonu, zszyta ze skurek myszy, szczurów i kotów całego Bajorowa.